

 Harlequin[®] *Romans*[®]

LIZ FIELDING
Afrykańska przygoda



Liz Fielding
Afrykańska przygoda

Tłumaczyła
Monika Krasucka

Tytuł oryginału: A Wedding at Leopard Tree Lodge

Pierwsze wydanie: Harlequin Romance, 2010

Redaktor serii: Ewa Godycka

Opracowanie redakcyjne: Piotr Goc

Korekta: Urszula Gołębowska

© 2010 by Liz Fielding

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakikolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTExT®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8498-9

ROMANS – 1075

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Starannie wybierzcie miejsce, w którym urządzenie ślub i wesele. Dzięki ciekawej lokalizacji wasza ceremonia będzie inna niż wszystkie”.

Serafina March „Ślub doskonały”.

– Przepraszam, gdzie?!

Josie Fowler sama nie wiedziała, co zdumiewa ją bardziej: lokalizacja (mimo spekulacji mediów od roku udawało się utrzymać ją w tajemnicy) czy fakt, że Marji Hayes, redaktor naczelna pisma „Celebrity”, zdradza jej tak pilnie strzeżony sekret. Właśnie jej.

– Botswana! – powtórzyła jej rozmówczyni szepcąc, jakby obawiała się, że telefon jest na podsłuchu. – Dzwoniłam do Sylvie. Nie ukrywam, że liczyłam...

– Na co? – Josie wstukała jednym palcem hasło „Botswana” do wyszukiwarki. Głupie pytanie, gdy zna się odpowiedź. Marji Hayes miała nadzieję, że arystokratka Sylvie Duchamps Smith rzuci wszystko, by chwycić okruchy z weselnego stołu, o który toczy się gra. A było o co się bić. Propozycja zorganizowania ślubu roku to nie lada gratka. Niestety, panią redaktor spotkał zawód. Sylvie nie miała zamiaru zostawiać dziecka, by ratować jej pismo z opresji.

– Rozumiem, że Sylvie jest na urlopie macierzyńskim, ale miałam nadzieję, że impreza tej rangi...

Josie spokojnie czekała na dalszy ciąg. Doskonale wiedziała, że Sylvie nie skusi nawet najwspanialsza oferta. Z drugiej strony miała świadomość, jak wielkie znaczenie ma ten telefon.

– Wiem od Sylvie, że zostałyście współniczkami i teraz pani jest odpowiedzialna za organizację ślubów i wesel. – W głosie Marji pobrzmiwało niedowierzanie.

Nie ona jedna była zszokowana tym awansem. Setki osób uniosły brwi na wieść, że Sylvie uczyniła swoją asystentką dziewczynę, która wcześniej pracowała na zmywaku w hotelowej kuchni. Tak zwane towarzystwo poekscytowało się sensacją, po czym przeszło nad nią do porządku dziennego. Bo czym się tu podniecać? W końcu Josie była tylko „chłopcem na posyłki”, taką „przynieś, podaj, pozamiataj”. Pełniła tę podrzędną rolę krótko, bo szybko dała się poznać jako sprawna organizatorka, osoba godna zaufania. I odporna na stres. Była tak dobra, że kilka firm z branży próbowało ją podkupić, kusząc atrakcyjnym wynagrodzeniem i efektownym tytułem na wizytówce. Jako drugie skrzypace sprawdzała się doskonale, jednak pomysł, by samodzielnie przygotowywała imprezy, okazał się trudny do przełknięcia. Ostrzegła Sylvie, że tak będzie.

– Jest pani bardzo młoda jak na tak duże przedsięwzięcie – zauważyła Marji. – I jeszcze ten ekscentryczny wygląd! – Roześmiała się z przymusem.

Josie musiała przyznać jej rację. Miała dwadzieścia pięć lat, faktycznie mało jak na współwłaścicielkę firmy. Chwilami czuła się stara jak świat, ale co z tego? A wygląd zewnętrzny... cóż, na pewno był oryginalny.

Na przykład fioletowe pasemka. Josie uważała, że są równie istotnym elementem wizerunku, jak klasyczne garsonki i perły w przypadku Sylvie.

– Sylvie miała dziewiętnaście lat, kiedy założyła „SDS Events” – przypomniała redaktorce. Sama, bez pieniędzy i dachu nad głową. Za to wiedziała, jak zorganizować świetną imprezę. Jednym słowem obie zaczynały od zera; poza tym różniło je wszystko. Jednak Sylvie, pomna swych doświadczeń, nie bała się dać szansy obcej dziewczynie. Podała jej rękę, choć inni na jej miejscu zastanowiliby się dwa razy. A znając prawdę o Josie, zrobiliby w tył zwrot.

Od początku świetnie się rozumiały i uzupełniały. Sylvie wabiła klientów arystokratycznym pochodzeniem i wrodzoną elegancją, a Josie, twarzą dziewczyna z ludu, odwaliała czarną robotę. Nie straszne jej były nietypowe lokalizacje, pijani goście oraz kelnerzy. Krewkich imprezowiczów osadzała jednym spojrzeniem. Robiła swoje, ale uważnie obserwowała Sylvie, podświadomie chłonąc jej styl. Niby wciąż wyglądała jak buntowniczką, ale przeszła wielką wewnętrzną przemianę. Skwapliwie wykorzystała szansę. I cały czas się uczyła: projektowania, zarządzania, marketingu.

– Gdybym nagle zmieniła styl, ludzie by mnie nie poznali.

– Faktycznie. – Śmiech Marji zabrzmiał protekcyjnie. – Na szczęście nie będzie pani musiała nic wymyślać, bo od dawna mamy plan. Musi pani dopilnować realizacji...

Jednym słowem superfucha. Tylko że nikt „z nazwiskiem” jakoś nie chciał jej wziąć. Przeklęta baba umiała sprawić, żeby człowiek poczuł się jak śmieć. Josie aż świerzbiał język, by powiedzieć pani redaktor:

„wsadź sobie gdzieś ten swój ślub”. Zwyciężył zdrowy rozsądek, którego nigdy jej nie brakowało. Taka oferta nie trafia się co dzień, więc nie wolno zawalić sprawy. Ślub roku to najlepsza reklama. Jeśli wszystko się uda, to choćby przemałowała się cała na fioletowo, klienci i tak będą walić drzwiami i oknami. Do niej, do Josie, mistrzyni w swoim fachu, a nie tylko zastępczyni Sylvie.

– Czy możemy przejść do konkretów? Za dziesięć minut mam spotkanie – oznajmiła, mając dość gry w „nie chcę, ale muszę”, którą uprawiała Marji. Asystentka spojrzała na nią pytająco, bo na dziś nie miała nic w planach.

– Zatem do rzeczy. Chyba nie muszę pani przypominać, że wszystkie informacje są poufne. – Cierpka słodycz w głosie redaktorki sugerowała, że jednak musi.

I tu się myliła. Josie czytała o przygotowaniach do ślubu najdroższego piłkarza, Tala Newmana, z modelką Crystal Blaize. Pismo „Celebrity” przebiło konkurencję, ale musiało zapłacić fortunę za wyłączne prawo do publikacji zdjęć z imprezy. Nic dziwnego, że właściciele tytułu chcieli zarobić na tym jak najwięcej. Dlatego miejsce, w którym państwo młodzi powiedzą sakramentalne „tak”, było pilnie strzeżoną tajemnicą. W ten sposób podsycano zainteresowanie czytelników i chroniono się przed sabotażem ze strony konkurencji, która mogłaby wysłać szpiega i opublikować kompromitujące materiały.

Gdyby Josie pisnęła komuś choćby słówko, strzeliłaby gola do własnej bramki.

– Będę milczała jak grób – zapewniła. – Nawet nie wiem, gdzie leży Botswana – skłamała, czytając w kom-

puterze krótki artykuł zachwalający uroki „spokojnego i pięknego kraju na południu Afryki”.

– Botswana jest ostatnio szalenie modna. – Marji była zdegustowana jej ignorancją.

– Naprawdę? Nie wiedziałam. – Bo nie tropię obsesyjnie wakacyjnych trendów wśród celebrytów, pomyślała.

– Crystal uwielbia zwierzęta! – ekscytowała się Marji.

Zwierzęta? W Afryce?

– A konkretnie? Co chce zobaczyć? Słonie? Lwy? – Nie, raczej coś mniejszego. – Małpy?

– To też. Ale prawdziwą atrakcją będą lamparty!

Gideon McGrath, jak każdy przedstawiciel *homo sapiens*, miał kiepsko rozwinięty węch, a jednak znajomy zapach Leopard Tree wyczuł, zanim terenówka wjechała na teren ośrodka. Był to świeży i słodki aromat traw, który wabił zwierzęta zamieszkujące pustynię Kalahari.

Spojrzał na rzekę, którą uważał za własną, i serce zabiło mu mocniej. Kierowca zaparkował na cienistym podjeździe, ale Gideon się nie ruszył; zbierał się w sobie, bo nawet tak prosta czynność jak wysiadanie była w tej chwili sporym problemem.

– *Dumela, Rra!* Jak dobrze znów pana widzieć!

– Francis! – Gideon uściśnął dłoń mężczyzny, który wyszedł na powitanie.

– Dawno pan u nas nie był, ale nie traciliśmy nadziei, że pan wróci. – Szeroki uśmiech znikł z jego twarzy. – Bardzo boli?

– Eee tam, to nic poważnego! – Gideon machnął ręką i zaczął wysiadać, ale z bólu zapało mu dech.

– Jakoś ostatnio zardzewiałem. Podobno za dużo podróżuję. Jak rodzina? – zapytał, by choć na moment zapomnieć o piekielnym bólu kręgosłupa. I jego przyczynie.

– Wszystko po staremu. Niech pan do nas zajrzy.

– Mam książki dla twoich dzieciaków. – Gideon sięgnął po bagaż, a ponieważ całe życie włóczył się z jednego krańca świata na drugi, brał tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Tym razem lekka torba wydała mu się tak ciężka, jakby woził w niej kamienie.

– Lamparty? A one nie są niebezpieczne?

– Może i są, ale to będą młode sztuki, które ktoś przygarnął po śmierci lamparcicy. Dostarczą je do ośrodka, a pani tylko zawiąże im kokardki.

– Aha, to dobrze – mruknęła bez przekonania, wspominając ostre jak brzytwa pazury swojej kotki.

– Ślub odbędzie się w hotelu Leopard Tree. To niezwykle miejsce, idealne dla tych, którzy lubią podglądać dzikie zwierzęta. Czysty luksus w samym sercu natury. Powiem szczerze, że pani zazdroścę.

– No, rewelacja! – zawołała Josie, udając zachwyt.

– Co najważniejsze, zwierzęta można obserwować z własnego tarasu. Nie trzeba się tłuc rozklekotanym jeepem po bezdrożach. Niech pani sobie wyobrazi: leży pani we własnym basenie, popija szampana, a w dole kąpią się słonie.

– Rewelacja! – Josie bezbłędnie rozpoznała cytat z katalogu biura podróży. Marji pewnie myśli, że funduje jej luksusowe wakacje, a prawda jest taka, że kiedy koła weselnej maszyny idą w ruch, nie ma czasu w głowę się podrapać, nie mówiąc już o podziwianiu widoków.

Relaks w przededniu ślubu to przywilej panny młodej, choć w tym przypadku nawet ona będzie musiała się napracować. Josie, jako odpowiedzialna za całość, będzie tyrała od świtu do nocy. Zwykle dzień przed imprezą spędzała w biurze z telefonem przyklejonym do ucha. Nauczona doświadczeniem wiedziała, że mimo skrupulatnych przygotowań wpadki są nieuniknione. W ostatniej chwili zawsze coś wyskoczy. W Londynie miała sztab ludzi do pomocy, w botswańskiej głuszy będzie zdana wyłącznie na siebie. A jeśli mały lampart zanadto się rozbryka? Tu groźne spojrzenie na pewno nie wystarczy.

No, chyba że „dzika i niczym nieskazona przyroda” to zwykły slogan reklamowy. A wzmianka o słońiach u wodopoju oznacza, że w pobliżu nie ma żadnego międzynarodowego lotniska. Skoro o lotnisku mowa...

– A jak my się tam dostaniemy? – zapytała, tknięta złym przeczuciem.

– Wycarterowaliśmy samoloty – uspokoiła ją Marji.
– O to niech się pani nie martwi.

– Tak już mam, że martwię się o wszystko. – Łącznie ze słońiami i bałaganem, którego mogą narobić lamparciątka. – Dzięki temu śluby, które organizujemy, przebiegają bez zakłóceń.

– Ja myślę! Gdyby Sylvie nie cieszyła się taką renomą, do tej rozmowy by nie doszło. Ale o czym to ja mówiłam?

– O transporcie – podsunęła Josie, walcząc z narastającym zniecierpliwieniem.

– A, tak! Serafina miała jutro wysłać pierwszą partię rzeczy. Słyszała pani, co jej się przytrafiło?

Według oficjalnej wersji Serafina March, „designerka” uroczystości ślubnych dla śmietanki towarzys-

kiej – tytuł zwykłej „organizatorki” był oczywiście zbyt trywialny – i samozwańcza „królowa ślubów”, niespodziewanie padła ofiarą wirusa. Dobrze poinformowane źródła utrzymywały, że sama panna młoda posłała ją do wszystkich diabłów.

– Prędzej wezmę ślub w urzędzie, ubrana w worek po kartoflach, niż pozwolę, żeby ta przemądrzała krowa patrzyła na mnie z góry i dyktowała mi, co mam robić – miała powiedzieć doprowadzona do ostateczności.

Josie, którą Serafina zawsze traktowała z wyższością, doskonale rozumiała tę frustrację.

– A jak ona się czuje? – zapytała z obowiązku.

– Powoli zdrowieje. Jaka szkoda, że nie będzie mogła uczestniczyć w uroczystości, w którą włożyła tyle pracy i serca – westchnęła Marji, po czym przeszła do konkretów. – Część gości wyruszy już jutro, ale państwo młodzi przyjadą dopiero pojutrze wieczorem, więc będzie pani miała dość czasu, żeby wszystko ogarnąć.

– Skoro wszystko jest załatwione, może też pojadę pojutrze? – Josie musiała w końcu sobie ulżyć.

– Lepiej dmuchać na zimne. Obie wiemy, że to nie będzie skromna uroczystość. Hotel nie jest duży, bo został pomyślany jako baza dla miłośników safari, więc na wszelki wypadek wynajęliśmy statek wycieczkowy z miejscami noclegowymi.

Odludzie, woda i dzikie zwierzęta – trzy słowa, które organizatora imprez przyprowadzają o zimny dreszcz. Do tego „hotel baza”. Czyli koszmar. Co z tego, że ponoć luksusowy? Namiot to namiot, i basta.

– Proszę pamiętać, że najgorsza robota już została wykonana – podkreśliła Marji, nie doczekawszy się okrzyków wdzięczności.

Najgorsza? Chyba najciekawsza.

Planowanie. Projektowanie. Układanie menu, wybieranie muzyki, kompozycji kwiatowych, kolorów, strojów. Zakupy z panną młodą, szczęśliwą posiadaczką karty kredytowej nieobciążonej żadnym limitem.

– Do pani należy dopilnowanie, żeby wszystko przebiegło sprawnie – podsumowała Marji.

– Aha! – Josie czuła, że za chwilę zagotuje się z wściekłości. Miała nadzieję, że impertynencka baba wreszcie wyczuła jej irytację. Nic z tego. Marji Hayes miała skórę grubszą niż nosorożec.

– Serafina nakreśliła idealny scenariusz, zadbała o każdy szczegół. Proszę trzymać się jej wytycznych, bo dla nas to gwarancja udanych sesji zdjęciowych.

– Ale mam się postarać, żeby państwo młodzi byli zadowoleni? – Josie chciała uświadomić nadętej redaktorce, że jej wojenki z konkurencją nie są najważniejsze.

– Państwo młodzi? A tak, naturalnie. Czasu mamy niewiele. Przyślę pani mejlem szczegóły dotyczące podróży oraz dokumentację do przejrzenia w samolocie.

Josie nie miała wątpliwości, że trafiła jej się życiowa szansa. Jednak w ciągu dziesięciu minut zleceniodawczyni obraziła ją tyle razy, że miarka się przebrała. Nie zamierzała dłużej udawać, że wszystko splywa po niej jak po kaczce.

– Przyznam, że czegoś tu nie rozumiem – zaczęła głosem anioła. – Skoro wszystko jest perfekcyjnie przygotowane, czemu daje mi pani to zlecenie? Dlaczego nie zajmą się tym pani ludzie? Albo, jeszcze lepiej, pani osobiście? W mgnieniu oka załatwi pani tę parę drobiazgów, a potem będzie pani mogła relaksować się w basenie.

I przy odrobinie szczęścia słodkie lamparciątka zeżrą cię na lunch, durna babo.

– Proszę mnie nie kusić! – krygowała się Marji. – Co ja bym dała, żeby tam pojechać! Ale ktoś musi pracować, żeby bawić mógł się ktoś. Mam tu mnóstwo pracy, poza tym takie rzeczy najlepiej powierzyć profesjonalistom.

Którzy nie strofują panny młodej.

– Obiecałam Crystal, że spełnimy jej marzenia.

Jej czy własne?

– Nie możemy sprawić jej zawodu – ciągnęła Marji. – Crystal jest bardzo wrażliwa. I jak każda panna młoda czuje tremę. Chyba nie muszę mówić, że trzeba obchodzić się z nią delikatnie. Mam nadzieję, że będzie się dobrze czuła w pani towarzystwie.

Aha, teraz już obydwie są traktowane jak dzieci. Albo parweniuszki z etykietką „ona nie jest jedną z nas”.

– Rozumiem, że w najbliższym numerze napiszecie, że jestem odpowiedzialna za przebieg uroczystości? – rzekła Josie spokojnie, choć po raz setny miała ochotę krzyknąć: „wypchaj się z tym swoim ślubem”.

– To projekt Serafiny! – oburzyła się Marji.

– Naturalnie. Trzymajmy więc kciuki, żeby do jutra wyzdrowiała. Czeka ją długa podróż...

– Chętnie zamieścimy podziękowania za to, że zgodziła się pani ją zastąpić.

Obietnica nie była wiążąca, ale zaistniała szansa, że wieść pójdzie w świat. A na tym zależało Josie najbardziej. Poza tym w całej sprawie nie chodzi ani o nią, ani o Marji, ani nawet o „królową ślubów”. Sylvie wpoila jej fundamentalną zasadę, w myśl której żadna panna młoda, a zwłaszcza ta, która trafi na okładki kolorowych pism, nie może być pozostawiona samej sobie.

Musi mieć kogoś, kto w tym wielkim dniu będzie ją nieustannie wspierał.

– Proszę mi dostarczyć materiały. Zaraz prześlę umowę.

Drżącą ręką odłożyła słuchawkę.

– Emmo, wyślij standardową umowę do Marji Hayes z „Celebrity” – poprosiła asystentkę. – Przejmujemy ślub Tala Newmana z Crystal Blaze.

– „Celebrity”! – Emma z dzikim okrzykiem podrzuciła do góry notes i długopis. Jej radość sprawiła, że z Josie wyparowała cała złość na Marji Hayes. – Gdzie to będzie?

– Jeśli ci powiem, to potem będę musiała cię zabić.

– Dzień dobry! Jak pan się czuje? – powitał go Francis.

– Bywało lepiej – odpowiedział mu w języku tswana.

Gideon nie planował wizyty w Leopard Tree. Zboczył z drogi, burząc precyzyjnie ułożony plan podróży, którą rozpoczął od wizyty w bazie nurkowej nad Morzem Czerwonym. Stamtąd wzdłuż wybrzeża ruszył do Ramal Hamrah, by sprawdzić zaawansowanie prac przy budowie statku wycieczkowego, który zamówił u miejscowych fachowców. Skoro już był blisko pustyni, wybrał się na safari. Zwykle takie eskapady dodawały mu sił witalnych, tym razem było inaczej. Gdy chłodnym pustynnym świtem zziębnięty otworzył oczy i pomyślał o gehennie czekającej go na zatłoczonym lotnisku, zadał sobie pytanie: po kiego diabła ludzie tak się katują dla przyjemności? W przypadku faceta, który zbił majątek, sprzedając turystom dreszcz emocji, przygodę i marzenie o mitycznej krainie Shangri-La, takie czarne myśli nie wróżyły nic dobrego.

Faktycznie, coś z nim było nie tak, bo od pewnego czasu dokuczał mu ból kręgosłupa. Początkowo nie zwracał na to uwagi, ale w końcu zdał sobie sprawę, że męczy się z tym prawie rok. A zaczęło się w momencie, gdy postanowił sprzedać Leopard Tree.

– Fizycznie nic ci nie dolega – oznajmiła Connie, jego lekarka, prześwietlwszy go na wszystkie strony. – Powiedz, co cię gryzie?

– Nic – skłamał. – Czuję się jak młody bóg. – Istotnie miał powody do zadowolenia. Właśnie kupił rancho w Patagonii, które miało być kolejną dużą inwestycją. – Zapraszam na wakacje w siodle.

Connie pokręciła głową.

– Z nas dwojga to nie ja potrzebuję wakacji, tylko ty – oznajmiła. – Ostrzegam, że jedziesz na pustym baku. – Co?! – Zwolnij! Zaczynij żyć naprawdę.

– Popatrz, myślałem, że nic innego nie robię. Wiesz, mam propozycję. Zrób mi zastrzyk przeciwbólowy, bo zaraz mam samolot.

– Zdajesz sobie sprawę, że ulga będzie krótkotrwała? – westchnęła. – Prędzej czy później i tak będziesz musiał się zatrzymać i poszukać przyczyny swoich dolegliwości. Jeśli sam tego nie zrobisz, zmusi cię do tego twój kręgosłup. Spróbuj choć trochę odpocząć.

– Tak jest, pani doktor. Już się robi.

Może faktycznie trochę przesadził, śpiąc na pustyni w cienkim śpiworze. Doszedł do tego odkrywczego wniosku w drodze na lotnisko, chwilę po tym, jak ból zaatakował ze zdwojoną siłą. Mimo to nie zrezygnował z planów. Sześć spotkań i cztery loty później siedział na pokładzie awionetki podchodzącej do lądowania na piaszczystym pasie startowym, który dziesięć lat temu wykarczował w buszu.